№ 6.

Rok 3.

CENA:

w Warszawie:
miesięcznie kop. 15 Złp: 1
w Królestwie i Cesarstwie pod opaskami
kwartalnie kop. 62. (Złp. 4 gr. 4.) półrocznie rs. 1 kop. 24. (Złp. 8 gr. 8.) roczn e rs. 2 kop. 48. (Złp. 16 gr. 16).
W kopertach półrocznie rsr 1 kop. 70. (Złp. 11 gr. 10). rocznie rs. 3 40, (Złp. 22 g. 20).



WARSZAWA
27 Stycznia / 8 Lutego
1868 r.

Prenumerować można **Zorzę:**
w Warszawie w Redakcji Nr. 24 (nowy) ulica: Nowy-świat. — na prowincji w Królestwie: po Stacjach pocztowych. W Cesarstwie po Stacjach pocztowych lub za zgłoszeniem się listownem do Redakcji w Warszawie. (Nr. 24 ulica Nowy-Świat) końcową należność można nadsyłać markami pocztowemi.

PISMO NIEDZIELNE

DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

„Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch Boży,—A całość sama się złoży.“—*Kazimierz Brodziński.*

Przygoda w Stepach.

(*Dokończenie*).

Po zabiciu wilka puściliśmy się dalej w drogę. W niespełna trzy godziny przyszliśmy do wigwamu, to jest do haty Indjanina. Zeszedłem z konia i postępowałem, wzruszony posępnemi myślami, za milczącym moim przewodnikiem. Łuki, strzały, tomahawki, kordelasy leżały na ziemi lub wisiały na ścianie. Ale strach mnie przejął, gdym w kącie haty spostrzegł do dwunastu czupryn ludzkich, które po większéj części krwią pokryte były i zdawały się należeć do osób różnéj płci i wieku. Wzrok mój padł na jedną taką skórę nagłowną, któréj jasne włosy były szczególnéj piękności, i bez wątpienia zdobiły niegdyś twarz młodéj pięknéj kobiety, która padła jako ofiara krwiożerczego barbarzyńcy, a w którego ręku ja znajdowałem się teraz. Dreszcz ochydy przeszedł mię po ciele, zimny pot pokrył me czoło. Odwróciwszy twarz, starałem się ukryć bojaźń, jaka mnie dręczyła.

Towarzysz mój usiadł na skórze bawoléj: skinął na mnie, abym podobnie usiadł i przyniewalał mnie szkosztować niektórych potraw. W czasie gdy zajadał, brała mnie chętka zażądać niejakiego objaśnienia co do dziwnego jego obejścia się ze mną; ale on sam odwrócił się do mnie i zaczął mówić w ten sposób:

—„Jesteś białą-twarzą; spotkałem cię śpiącego w lesie i chociaż chciałeś mi natychmiast odebrać życie, jednakże wypaliłem z tobą fajkę-pokoju. A przecież ten miał twarz białą, który mojemu ojcu śmierć zadał! Spałem jeszcze u łona mojéj matki, ale poprzysiągłem w młodych mych latach zemścić go. Zemsta, nienawiść ku białym twarzom były jedynemi mojemi namiętnościami. Pierwszą modlitwą, którą ku naszemu wielkiemu-Duchowi Manitu skierowałem, było, abym nie pierwéj pożegnał się z życiem, dopóki się nie zdołam przystroić w krwawe przybory zemsty, coby mnie uczyniło godnym pójść w koło nadziemskich duchów, — i dotrzymałem przysięgi. Stałem się mężem i pokolenie Lampartów przyjęło mię rychło do swego środka.

„Zbudowałem sobie hatę na brzegach jeziora Ontario; matka moja poszła ze mną; małżonka moja dała mi wiele dzieci; byliśmy

szczęśliwą rodziną. W dzień narodzin pierworodnego mego dziecka zrobiłem ofiarę Duchowi mego ojca z jednego Białego. W pięć miesięcy później padła druga ofiara; za tą poszło wiele innych; moja tomahawka i mój nóż stały się wrogiem dla Białych: patrz!“ tu wskazał mu ręką na straszliwe różańce, które na ścianie wisiały.

„Upłynęły cztery lata; gdy jednego wieczoru powróciwszy z polowania, zastałem hatę moją spaloną, żonę i dzieci wymordowane. Matka moja, która uszła rzezi, biadała głośno w pobliżu dymiących się ruin. „Jesteśmy ostatniemi z naszego pokolenia“—rzekłem do niej;—cofnijmy się znowu w pustynie; samotność przystoi takim ludziom, jakimi jesteśmy oboje“.

„Opuściłem więc brzegi jeziora Ontario, wziąłem garść popiołu z mojéj haty i zmieszałem ją z popiołami mojéj żony i moich dzieci. Poszedłem ku granicom kraju Kanady i wyciągnąłem z plemieniem Ereeków na wojnę przeciwko Amerykanom. Z roskoszą pławiłem się we krwi białych twarzy. Jak się wojna skończyła, opuściłem towarzyszów i osiadłem stale w tych lasach. Raz w nocy zapukano do mojéj haty; otwieram, zbłąkany myśliwiec pragnął gościnności. Wszedł. Na widok przybysza przestrach i zmięszanie opanowały moją matkę; „To on morderca twojego ojca“, krzyknęła. Nie potrzebuję ci mówić, com uczuł na te słowa; ale pójdź za mną, zobaczysz koniec.“

Indjanin podniósł się i skierował się w las, szedłem krok w krok za nim nie będąc w stanie wymówić słowa, i doznając katuszy z najokropniejszych rozmyślań. Opuściliśmy wrychle drogę, na którąśmy weszli i wdarliśmy się w najgęstszy bór: Olbrzymie dęby, cyprysy, klony, cedry tworzyły nad nami w całem znaczeniu nieprzenikliwe dla deszczu sklepienie. Balsamiczna woń powietrza, którą pierś wciąga w tych okolicach, harmonijny i cudny śpiew ptaków, widok téj wspaniałéj i pięknéj przyrody,—nic nie zdołało dręczącym uczuciom, jakie mną miotały, nadać inny kierunek.

Przeszliśmy tak prawie półtoréj godziny, gdy się mój przewodnik zatrzymał. Znaleźliśmy się na krawędzi przepaści, w któréj głębi huczał strumień. Hałas szumiących fal, ciemność, która w około nas panowała, otchłań u moich stóp i obecność dzikiego Indjanina, nieporuszenie stojącego mi przy boku, niby duch, który w téj samotni panował,—wszystko to ogarnęło mnie najposępniejszemi przeczuciami i zrobiło mnie osłupiałym z przestrachu. Indjanin zdawał się być zatopionym w myślach. Nareszcie przerwał milczenie: „Tutaj—rzekł—przyprowadziłem zabójcę mojego ojca. Błagał o litość, bo się lękał śmierci. Stałem się głuchym na jego błagania. Plamy krwi, którą wytoczył, mogły być tylko w głębinie téj huczącéj wody obmyte. Schwyciłem go silnie oburącz i zrzuciłem go tam. Jeszcze słyszę spadanie jego ciała w otchłań. Tak zemściwszy pomyślnie śmierć mego ojca, chciałem się podobnie rzucić w przepaść, aby pójść do krainy Duchów, ale usłyszałem głos, który rzekł: „Idź do swéj haty, godzina twoja nie nadeszła jeszcze, śmierć twojéj żony, twojego ojca i twoich dzieci jeszcze niezadość pomszczone.“ Posłuchałem roskazu.

Dziki milczał. Wspomnienie tego czynu zemsty rospłomieniło mu twarz; nie był panem siebie. Staliśmy na skraju otchłani i trwoga przebiegła po mém ciele, gdym pomyślał o tém, że nierozważne jedno słowo, najnieznaczniejszy ruch z mojéj strony mógł mi zadać zagładę. Po chwili morderczego milczenia rzekłem:

—„Wypełniłeś wiernie swoje zobowiązanie, skoroś swego ojca pomścił białemi twarzami, i jako ostatnią ofiarę dla jego cienia wylałeś krew jego mordercy.“

—Jako ostatnią ofiarę!—zawołał gniewnie. „Nie, od owego dnia jeszcze sześciu Białych zabiłem; ale teraz—ciągnął daléj uroczystym głosem—dosyć się już nażyłem. Ten dzień będzie świadkiem ostatniéj mojéj ofiary. Wczoraj, gdym cię spostrzegł, wymierzyłem strzelbę do ciebie. Po raz pierwszy poczułem się napadniętym żałością. Brakło mi sił. Postąpiłem kilka kroków ku tobie, w czasie twego snu położyłem rękę na tomahawce. Ale nawet wspomnienie o moim ojcu, którego ręka Białego zamordowała, nie mogło mi dodać siły, aby krew twoją przelać. Odszedłem daleko w las, modliłem się do wielkiego Manitu, pytałem się go, co mam uczynić, skoro nie mogłem

zadać ci razu,—wtedy znów przemówił głos, który już raz słyszałem; będę posłuszny jego roskazowi, a ty będziesz świadkiem posłuszeństwa mojego."—Indjanin zamilkł.

Powróciliśmy do haty. Spoglądałem nań ze zdumieniem, gdy zdejmował z siebie swój ubiór, następnie zawiesił sobie na szyi sznurek ze srebrnemi ozdobami, które były do półksiężyców podobne, na głowę włożył pewien rodzaj zawoju, z nad którego czarne pióro wiewało, i ubrał swe ciało w czerwony strój, potem zdjął wszystkie czaszki ludzkie, które wisiały na ścianie i przymocował je sobie do piersi. Nigdym nie miał przed sobą tak okropnego widoku. Skoro te przygotowania ukończył, wziął strzelbę, topór, kordelas, odwrócił się do mnie i rzekł:

—„Weź obie skóry bawole, na których siedziałeś i pójdź ze mną."

Szedł znowu drogą przez las, ale zwolna i umiarkowanie; postawa jego była stateczna i poważna, zachowywał posępne milczenie. Wrychle wydał śpiew, który zrazu był głębokim, cichym i smutnym, ale wkrótce stał się prędkim, ożywionym i donośnym. Pomiarkowałem, że chciał sobie śmierć zadać.

Przybyliśmy niebawem na wzgórek, gdzie na małem wzniesieniu ujrzałem pomiędzy czterema cyprysami dwa gliniane naczynia, które zawierały popioły jego matki, żony i dzieci. Zbliżył się do nich, złożył broń i rozciągnąwszy obie przyniesione przezemnie bawole skóry na ziemi, ustawił na nich szczątki swojój rodziny i usiadł w milczeniu na boku.

Nie byłem w stanie dłużéj milczeć.

—„Czy chcesz sam sobie życie odebrać, czy to ostatnia twoja ofiara, o któréj mówiłeś?"

Lekki uśmiech zaigrał na jego ustach, lecz nie dał mi żadnéj odpowiedzi. Ale zaraz zaczął znowu śpiew śmierci swego pokolenia, i podczas gdym był miotany najrozmaitszemi uczuciami, pozostał spokojnym i poważnym; zaiste, można było sądzić, że pragnie zasnąć. Głos jego, który zrazu był smutnym i żałosnym, podnosił się zwolna i brzmiał jak śpiew wojenny, który się skończył wyciem powtórzonem po lasach przez echo.

Miał oczy spuszczone; aż dotąd wyrażał się w swéj mowie, któréj zrozumieć nie mogłem; ale wydawszy powtórny śpiew śmierci, odezwał się do mnie w angielskim języku:

—„Cóż się stało z kwiatami każdego lata?—opadły jedne po drugich; cóż się stało z członkami mego pokolenia i mojéj rodziny?— poszli w krainę duchów. Jestem ostatnim z mego pokolenia; czas już przebyć tam górę i do mojego ojca, do mojéj żony i do moich dzieci w najszczęśliwszą powędrować dolinę. Białe-twarze spaliły mój dom i zgładziły, co mi drogiego było. Krew Białych-twarzy popłynęła pod moją tomahawką. Teraz już śmierć moich pomszczona i wielki Manitu woła mnie do siebie. Jestem ostatnim z mego pokolenia; w kole duchów odszukam mego ojca; niczyja ręka tylko moja powinna mnie posłać w krainę duchów."

Po tych słowach pochwycił nóż i wraził go sobie głęboko w piersi. Potok krwi wytrysnął z rany. Głowa jego skłoniła się ku ziemi. Byłem przejęty zdumieniem i zgrozą. Oczom moim zabrakło władzy patrzenia na to okropne zdarzenie. Rzuciłem się na drzewo i zakryłem sobie twarz rękami. Ciągle jeszcze słyszałem zamierający już głos Indjanina powtarzającego słowa: — „Jestem ostatnim z mego pokolenia; w kole duchów odszukam mego ojca.

Pomału stały się jego słowa niewyraźniejszemi i w końcu stłumiły się całkiem. Życie i walka śmierci Indjanina już się skończyły.

Byłem sam w téj głębokiéj pustyni, dusza moja była przepełniona smutkiem. Zebrałem jednak moje siły i okręciłem zwłoki Indjanina w skórę bawolą.

Dopełniwszy téj powinności, oddaliłem się w ponurem usposobieniu z tego miejsca zgrozy, i powróciwszy nie bez wielu trudności do Krwawéj-doliny, podążyłem ku kolonji, do któréj przybyłem szczęśliwie, mocno postanowiwszy sobie, nie wkraczać nigdy do zachodnich pustyń. (1) *J. Gr.*

---

(1) Dodajemy tu, że owe na wiele mil ciągnące się stepy i przestrzenie zarośnięte wyniosłą trawą i lasami, czyli tak zwane po indyjsku *Sa-*

ZŁAPANY NA UCZYNKU.

ZABAWKA TEATRALNA.

(Dla Ochronek).

przez C. Falkowską.

OSOBY: STAS, PAWEŁEK, JÓZIO i inne DZIECI.

(*Scena przedstawia drzwi Ochronki z napisem:* **Ochrona**. *Przed drzwiami siedzi straganiarka z koszykiem bułek. PAWEŁEK i STAS idą do Ochronki, otwierają drzwi. STAS zagląda i cofa się ciągnąc za sobą PAWEŁKA*).

WYSTĄPIENIE I-sze.

STAŚ. Niema Pani dozorczyni w sali,— mątka już odeszła, chodź ze mną Pawełku na Skarbówkę, poślizgamy się aż miło! Boć czegóż my tu więcéj nauczymy się, jak umiemy? a tam doskonale się ubawimy,— chodź, chodź, braciszku!

PAWEŁEK. Nie pójdę ja z tobą; czy chcesz, żebym nogę złamał lub głowę rozbił. Mama nie każe chodzić na ślizgawkę samym dzieciom i czasu nie marnować, a grzech nie słuchać rodziców. Wszak wiesz, że mamy się jeszcze nauczyć zadanéj lekcji. A zresztą cóż tam dobrego usłyszysz,—sama obraza Boga, jak się zbiorą złe dzieci.

STAŚ. To siedź sobie molu przy książce, ja pójdę sam, będziesz tego żałował! pamiętaj, że nie napiszę nigdy za ciebie literek na tabliczce (*odchodzi*).

WYSTĄPIENIE II.

JOZIO. (*Pokazuje się we drzwiach z woreczkiem piasku na plecach, woła*): Piasku! białego, wiślanego! (*zaczyna płakać z cicha*).

PAWEŁEK. Czego ty płaczesz, powiedz mi mój drogi?

JOZIO. Bo jeść mi się chce, a nie mogę sprzedać piasku od wczoraj.

PAWEŁEK. A czemu tobie matka nie dała bułeczki?

JOZIO. (*płacząc*) ja nie mam matki, jestem sierotą, już i grób matki porosł trawą, a ja nie mam nikogo bliskiego na ziemi tylko Boga w niebie.

PAWEŁEK. (*do straganiarki*) Moja najdroższa pani! Niech mi pani sprzeda bułeczkę, ale proszę pokredytować, ja oddam pani, jak mamę kocham, oddam.

STRAGANIARKA. Dobry z ciebie chłopak, że masz litość nad drugim, ale bądź rzetelnym i oddawaj zawsze każdemu należność. (*daje bułkę, JOZIO całuje ją w rękę*).

PAWEŁEK. Dziękuję pani! Niech Bóg dopomaga za kredyt (*daje Józiowi bułeczkę i wprowadza go do Ochronki*).

WYSTĄPIENIE III.

(*Słychać wołanie*): Stasiu! Stasiu!

STAS. (*wbiega zadyszany*) otóż i matka mnie szuka i woła, co ja zrobię? co powiem! ale co się ubawiłem, to ubawiłem, —tylko jeść mi się chce. W Ochronce już po obiedzie, a matki obowiam się prosić (*ogląda się i spostrzega straganiarkę drzemiącą*), Aha! śpi jak zabita... (*Przysuwa się powoli, bierze bułkę i cały kosz przewraca; wysypują się bułki*).

STRAGANIARKA. (*przebudziwszy się*). Ach! co za niecnota, chciał mnie skrzywdzić (*porywa Stasiowi czapkę z głowy*).

STAS. Moja pani, moja złota pani, już nie będę nigdy, niech pani nie bierze czapki bo to nowiuteńka, dziś matka mi ją kupiła, żebym w niéj szedł do ochrony.

STRAGANIARKA. Dobrze, mały hultaju, że stracisz czapkę nową, może cię to nauczy szanować cudzą własność,—bo i ci, co siedzą zamknięci po więzieniach, zaczynali od rzemyczków, bułeczek, a kończyli na konikach, tak i ty zaczynasz niecnoto!

STAS. (*płacząc*) Ja chciałem prosić panią, ale kiedy pani spała.

STRAGANIARKA. Pożegnaj się z czapką, albo za pokutę włóż na godzinę oto tę

---

wanny mieszczą się w Północnéj Ameryce, w ogromnym kraju, zwanym Stanami-Zjednoczonemi, mianowicie w części kraju Missuri, gdzie wielkie rzeki: Missuri i Misisipi płyną. Przed stu laty panami tych obszarów byli tylko dzicy Indjanie, ludzie miedzianego koloru ciała, których następnie częścią ukształcili, częścią wytępili w morderczych wojnach ludzie biali, czyli koloniści angielscy, którzy wybiwszy się z pod władzy Anglji, dziś zajmują większą część północnéj Ameryki, owe Stany Zjednoczone. Na czele ich rządu stoi teraz wybrany przez nich Prezydent Dżonson mąż wielce ukształcony, a który poprzednio był krawcem.

(*Prz. Red.*)

z papieru, którą przygotowałam dla takich jak ty nicponiów, z napisem: *Ostrożnie bo lepkie ma palce.*

STAS. Ja włożę, ale żeby nikt nie widział, (*wkłada na głowę, a w tę chwilę wychodzi PAWEŁEK z dwoma chłopczykami, niesie pieniądze i oddaje Straganiarce i dopiero spostrzega Stasia. Smiech powstaje ogólny, Staś zawstydzony zaczyna płakać, dzieci proszą straganiarkę o darowanie winy i za pozwoleniem jej zdejmują czapkę*).

STAS. (*przepraszając straganiarkę*) Już nigdy nie dotknę się cudzéj rzeczy, ale moi drodzy chłopcy, uproście jeszcze przebaczenia u matki, żem nie był w ochronie, żem nie słuchał jej roskazów. Odtąd przyrzekam wam, że nigdy nic podobnego nie zrobię, że będę dobrym uczniem i posłusznym synem.

(Zasłona spada).

Wiara, Nadzieja i Miłośc.

Wiara to przy drzwiach z wodą święconą studzienka:
Kto ją ma stróżem w domu, przygód się nie lęka.
Wiara to łaska, wiara nagroda najwyższa,
Im więcéj jéj ma dusza, tém jest niebios bliższa.
Wiara to skrzydło ducha pod ciałem ukryte,
Paproć cudowna, kwiecie niebios nierozwite.

Nadzieja to jutrzenka, co swit rzuca w okno,
Gdy kwiatki na wpółsenne we łzach rosy mokną.
Nadzieja, ciche, jasne światło na Syonie,
Rospromienia gwiazd gromadę w niebieskiéj koronie.
Nadzieja to nad wodą modry niezabudek,
Co mówi: ,,Bóg to dobroć, niech nie płacze ludek.

Miłość to przed domostwem lipa staroświecka,
Co daje chłód dla starca, miód słodki dla dziecka.
Miłość to najpiękniejszy kwiat w ziemi ogrodzie,
Róża, co wiecznie nęci, choć kolcami bodzie.
Miłość bóle zrozumie, smutki wytłomaczy,
Miłość piekło zwycięży, bo miłość przebaczy.

Józef Sęp.

MYŚLI.

Skarżących mędrków czasem pospólstwo łajało,
Lecz świadczących o prawdzie często mordowało.

CUDOWNA POTĘGA RYDLA I PŁUGA, PŁUŻYCY I SOCHY

skierowana do

Pręta, Morgi i Włóki ziemi

przez

WOJCIECHA JASTRZĘBOWSKIEGO.

III.

O tém, jakie się wydobywają skarby z jednéj Włóki Roli? I o sposobności wzajemnego uszczęśliwienia się ludzi i zwierząt.

(*Ciąg dalszy*).

Dla korzystania z własności *ochraniającéj* w mowie będącego lasku, najkorzystniéj byłoby zakładać go od strony najzimniejszych i najgwałtowniejszych wiatrów, ale że te wiatry przypadają, choć rzadko ze wszystkich stron: przeto dobrze byłoby tworzyć podobne laski wszędzie, gdzie zapewniają z siebie tę korzyść. Gdy zaś w mowie będąca własność okazuje się pożyteczną nie tylko dla siedzib ludzkich, uważanych wraz ogrodami, pszczólnikami, oborami i innemi przez żywe istoty zajmowanemi budowlami, ale nawet dla pól, łąk i pastwisk, bo i te wiele cierpią szczególniéj od wiatrów wysuszających wiosennych i upałów letnich, przeto wypadałoby tak zakładać i urządzać w mowie będące laski, jak to oddawna zaprowadzonem jest w wielu krajach zachodnich i jak tego można widzić u nas piękny przykład w Poznańskiem, w dobrach Jenerała Chłapowskiego, położonych między miasteczkiem Szremem i Kościanem i nazywających się Turwia, oraz w wielu gospodarstwach małych, tak zwanych szwabskich albo niemieckich. W Turwi zabespieczone są pola przeciw wzmiankowanym tu wiatrom mroźnym zimowym i wichrom wysuszającym wiosennym, przez podzielenie ich na poletki półwłókowe czyli 15 morgowe, i przez utworzenie na oddzielających je miedzach, w kształcie siatkowych nici, tak zwanych *pasów ochronnych* drzewnych, utworzonych z posadzanych gęsto na tychże miedzach (szerokich na pręt i okopanych od zewnątrz rowem) drzewek sosnowych, a na niższych miejscach świerko-

wych; które utworzyły przez to *las*, że go tak nazwę, *sieciowy*, zapewniający z siebie na przyszłość właścicielowi i jego następcom te same korzyści—w tyczkach, tykach, drągach, łatach, żerdziach, krokwiach, belkach, ściółce, grzybach, jagodach i paszy, jakie zapewniają im lasy zwyczajne czyli ciągłe i jeszcze oprócz tego stanowią, od czasu swego podrośnięcia ciągłą *ochronę* dla otaczanych przez siebie poletków, przeciwko wspomnianym wiatrom i wichrom, i wielce przez to, mimo rzucany przez siebie na nie cień, przyczyniają się do urodzajności uprawianych na nich zbóż i innych roślin rolniczych.

W gospodarstwach małych osadników naszych niemieckich znajdujemy podobną rzecz do wspomnionych tu pasów ochronnych, ale znajdujemy ją nie na polach, tylko na łąkach i pastwiskach, i utworzoną zwykle z obrzednio posadzonych na nich wierzb, przez co łąki te i pastwiska, stają się zabespieczonemi od ciągle działających na nie skwarnych promieni słońca (a zatem używają *przechodniego* światła i cienia, który trzyma środek między światłem i cieniem *ciągłym* i przez to wiele jest dla roślin rosnących na tychże łąkach i pastwiskach, tak jak dla wszystkich innych roślin, a nawet dla wszystkich żyjących tam istot użytecznym). Łąki te bujną i żyzną wydają trawę, a przynajmniej bujniejszą i żyzniejszą, niżeli je wydawać mogą łąki i pastwiska nie mające na sobie posadzonych obrzednio drzew takowych, albo gęstemi krzewami zarosłe, przez co *ciągłego* używając światła lub cienia, cierpią z przyczyny ich *zbytku* i *niedostatku*, i mało oraz lichego wydają w skutku tego siana i paszy.

Podobny skutek, jaki sprawiają drzewa obrzednio różnące na łąkach i pastwiskach, mogą one sprawiać i sprawiają rzeczywiście, przeciwko przekonaniu ogólnemu i na polach, gdy będą one w podobny sposób posadzone przy nich i w pośród nich przy drogach, na granicach, miedzach i nad rowami: bo także drzewka te, udzielając *przechodniego* światła i cienią zbożom i innym roślinom polnym, chronić je będą od skutków szkodliwego dla nich, tak jak dla wszystkich innych istot *niedostatku* i *zbytku* tegoż światła i cienia.

Z przyczyny takowego *niedostatku* i *zbytku*, a szczególniej samego *zbytku* cierpią rośliny i inne istoty żyjące, nie wymując ludzi, i ze strony innych przyrodzonych działaczów, jak np. z przyczyny ciepła, elektryczności, wiatru i powodzi, sprawiających zniszczenia pod imieniem mrozów, upałów (będących niedostatkiem i zbytkiem ciepła), potem pod nazwiskięm pomorów i piorunów (pochodzących z podobnego niedostatku i zbytku elektryczności czyli *gromła*), nareszcie pod nazwą burz, trąb, gradów, ulew i wspomnianych powodzi oraz potoków i po topów (będących wynikłościami ze zbyt silnych prądów powietrza i wody).

Przeciwko tym wszystkim i wielu innym im podobnym nieszczęściom, do których należy jeszcze niedostatek drzewa opałowego, budowalnego, porządkowego i grodziowego: najłatwiejszy i najskuteczniejszy przedstawiają z siebie środek nietylko wspomniane drzewa posadzone obrzednio na łąkach, pastwiskach, przy drogach, na granicach, miedzach i nad rowami; ale podobneż drzewa rosnące przy budowlach, płotach, nad rzekami, po wzgórzach, po wąwozach, po rowach, wydmach, spiekowiskach i wszystkich innych tak zwanych *nieużytkach*. Nieużytki te łatwo mogą się zamienić w *użytki* i to w wielce znaczące użytki, przez samo posadzenie na nich choćby takich drzew, jakiemi są wierzby i topole, udające się z kołów i gałęzi, i prędko rosnące, a daleko korzystniej takich, do jakich policzyliśmy owe wypielęgnowane przez nas na pręcie kwadratowym sosny, modrzewie, dęby i brzozy; które najpiękniejsze zwykle lasy, laski i gaje tworzą i do wszelkich, tak za swego życia, jak po ścięciu wystarczają potrzeb ludzkich i pielęgnowanych przez ludzi istot, nie mogących żyć bez drzew i drewna.

Drzew tych ostatnich ponieważ wypielęgnowaliśmy, po przesadzeniu ich z *pręta* na *mórg* 13,500, a może ich zostać na nim dla dojścia do najwyższej, to jest budulcowej czyli masztowej, że tak powiem wydajności, tylko 300, czyli tyle ile mórg ma prętów: przeto, jeżeli nie chcemy z reszty w przyszłości korzystać, jako z drzewek zdatnych na wspomniane niedawno tyczki, tyki

drągi, łaty, żerdzie, krokwie i drewno porządkowe; to możemy tę resztę drzewek, przy umiejętności i staranności bezobawy łatwego ich zniszczenia, przesadzać przy drogach, płotach, rowach, rzekach, łącznie z wierzbami, topolami, olszami, z wiązami, świerkami i innemi im podobnemi, łatwo przyjmującemi się prędko rosnącemi tam drzewami; możemy je, mówię, poprzesadzać na takowe, zwykle bez wielkiego użytku leżące miejsca.

Do takich miejsc należą jeszcze wspomniane niedawno łąki, pastwiska, wydmy i spiekowiska: przez co utworzy się z nich cóś podobnego do owego *sieciowego lasu* w Turcwi, ochraniającego pola od mroźnych wichrów zimowych, wysuszających wiatrów wiosennych, gradowych burz letnich, wyludniających pomorów każdoczasowych i t. p. dopuszczeń bożych, zsyłanych na grzesznych ludzi, szczególniej za niszczenie lasow i psucie porządku ustanowionego przed wieki przez Boga, w stworzonym przez Niego świecie—porządku, utrzymywanego szczególniej przez drzewa w wielu, ale nie we wszystkich miejscach rosnące, i choć nie regularną, ale zawsze właściwą *sieć* czyli niby cóś podobnego do komórek pszczolich na powierzchni ziemi tworzące, i od wszego złego ludzi i inne stworzenia boże *ochraniające*, ba, nawet pożywienia im, (oprócz zachrony, zaciszy i cienia) w swych liściach, miodzie kwiatowym, w żołędzi, jagodach i owocach leśnych—dostarczające.

Co do pożywienia w liściach, miodzie kwiatowym i żołędzi, odpowiedniemi są wzmiankowane dotąd drzewa, szczególniej topole, wierzby i dęby; ale co do pożywienia w jagodach i owocach leśnych, któremi utrzymuje się przez znaczną część roku ptastwo i zwierzyna leśna, potrzebna dla lasów z przyczyny wytępiania szkodliwego im robactwa: tego dostarczać im tylko mogą takie drzewa, do jakich należy szakłak, kalina, jarząb i grusza, oraz jabłoń leśna. Przeto i o te drzewa, przez ich rozmnażanie i utrzymywanie, a przynajmniej przez samo utrzymywanie starać się każdemu dbałemu człowiekowi o własne i powszechne dobro oraz o chwałę boską należy. Bez tego albowiem starania zginąć z czasem mogą nie tylko inne stworzenia boskie, tak zmniejszone teraz w swej liczbie na ziemi, ale samiż ludzie, utrzymujący się a przynajmniej utrzymywać się mogący, przy ich wpływie i pomocy, w stanie takiej niewinnej roskoszy i takiej szczęśliwości, do jakiej tylko używania na tej ziemi są od swego i powszechnego Stwórcy usposobieni, i przy jakiej używaniu mogą Mu oddawać cześć należną, a sobie czynić miły spokój i okazywać—zarazem w myśli, mowie i uczynku przykazaną przez Niego miłość wzajemną.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

RÓŻNOŚCI.

Kula ognista (*meteor*). Tak mieszkańcy Warszawy, jako też i różnych stron naszego kraju, byli niedawno świadkami wspaniałego na teatrze niebieskim przedstawienia; dnia bowiem 30 stycznia r. b. o godzinie 7 wieczorem w stronie zachodniej świata ukazała się nadzwyczaj pięknego blasku *kula ognista*, wydająca się oczom ludzkim wielką jak księżyc. Powiększając się, biegła ku wschodowi i przybierała kolejno kolory: biały, zielonawy, czerwony. Nabywszy koloru czerwonego, pękła w powietrzu, sprawiając oczom naszym wrażenie błyskawicy i rozsypała się niby na mnóstwo drobnych iskier. W parę minut po pęknięciu, dał się słyszeć przeciągły huk podobny do grzmotu, kończący to piękne przedstawienie, które niemało zajęcia i przestrachu widzom pozostawiło. Dziś już donoszą różne pisma, że część rosprysniętych kamieni padła to w Pułtuskiem, to koło Łomży, a część około miasta Miłosławia w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. I nic dziwnego, bo pęd takich kul ogromny; a przytem mogło ich być kilka. Takie kule ogniste należą do zjawisk przypadkowych, niedających się naprzód przepowiedzieć, zwanych *meteorami świetlnemi*, których krótkość trwania nie dozwala nam poznać i zbadać dokładnie. Początek ich, zdaje się, jest ten sam co gwiazd spadających których opis podany w N 48. Zorzy z r. 1866; dodamy tu tylko w krótkości, że jedni uważają je za wyrzu-

cone kamienie z gór wulkanicznych na księżycu, a drudzy za skupienie się gazów w przestrzeni niebios. Takie kule stężałego, skupionego gazu w postaci ogromnych brył mających w sobie najwięcej cząstek żelaza, widują ludzie częściej spadającemi w innych krajach, jak np. w Ameryce, w Południowej Francyi lub Syberji. Takie bryły spadłe znad ziemi, lub rozbite ich cząstki są, przechowywane w gabinetach czyli zbiornikach mineralogicznych po różnych miastach stołecznych.—Czas też już doprawdy, aby się otrząsnąć z przesądnego przypisywania tym niewinnym ciałom niebieskim dziwnego wpływu na losy pojedyńczych ludzi lub narodów. Patrzmyż rostropniej na te ogniste zjawiska i wracające do nas po swym czasie świecące komety, a podległe tylko prawom obiegu, z góry przez Stwórcę nadanym; przestańmy poczytywać je za znamiona gniewu Bożego, lub zwiastuny klęsk, a lepiej nauką rozjaśnijmy ciemnotę, która nas pod tym względem za długo w swych objęciach trzyma. Bóg bowiem, gdy chce ukarać ludzi, nie potrzebuje do tego pomocy rzeczy stworzonych przez siebie ciał. *J. Al.*

Kumoszka całego świata,



— Miałam się, proszę ja państwa, wychylić dopiero na przyszły tydzień z moją osobą, ale mnie język tak korcił, że już wytrzymać nie mogę, i muszę się państwu wygadać z jednym zabawnym *rachunkiem* o jakim się dowiedziałam w tych dniach od mojej dobrej kumy Apolonji. Otóż mularz jeden taki napisał

RACHUNEK

przypadającej należytości za wykonane roboty mularskie z materjałem w domu Jaśnie Wielmożnéj Pani (nie powiem, jakiéj)—*jak następuje, a mianowicie*:

„Kominów 12, wyprawiono na cement, proszę łaski pani z pociągnięciem takowych kolorem, licząc, jak pragnę szczęścia, po rs. 5. kop. 75—razem rs. 69.

ROBOTA DNIOWA

„Przy wyreparowaniu ram od frontu robił 1. mularz, jak kocham Boga przez 5-ipół dni licząc tego mularza proszę Jaśnie Wielmożnéj Pani po rs. 1. kop. 50, razem rubli sr. 8 k. 25.

— Dytto—dytto Pomocy! jak poważam Pańską Osobę po kop. 50.

Za cement użyty do ram powyższych kosztuje mnie, ażebym się z tego miejsca nie ruszył, proszę Szanownéj pani Dobrodziejki 6 rubli, jak pragnę zdrowia przy skonaniu.—Razem rubli 6.

Ogółem co do nogi, kosztuje, żebym trupem padł, rubli 86.

„Podpisano—Mularz“ (nie powiem, jaki).

A, bodaj cię śnieg spalił w dodatku! za takie dziwne rachunki, pomyślałam sobie, boć to już prawda, że kto się wiele przysięga, ten na pewno dobrze pływa—bez wody!

— Ale żeby na tém nie skończyć, boć to dziś podobno wszelkie rachunki a tém ci więcéj rachunek sumienia są bardzo niemiłe, więc jeszcze się wygadam Państwu, że wpadłam na dobry pomysł co do mieszkania. Oto odnajmuję od kwartału jeden pokoik komu, a w pozostałym będę się mieściła z Gabrysiem wten sposób, to jest nie ja, ale Gabrysiowi mieszkać każę na suficie, a sama będę chodziła po ziemi,—boć jeżeli już się znalazł taki sztuczny człowiek-mucha, co chodzi na dół głową i zbiera za to pieniądze w Warszawie, to czemuż by dla mnie mój Gabryś tego za darmo nie miał zrobić? Ja myślę, że to i dla gospodarzy byłby niezły interes,—to też ja sama od kwartału taką wywieszę kartę na drzwiach od sklepiku: „Tu jest do najęcia pokój za 200 rubli rocznie, bardzo wygodny dla małżeństwa, choćby z tuzinem dzieci, bo połowa z nich może chodzić po pułapie a połowa po ziemi.

— Ale, ale, mam też od mego kuma Klétusia powiedzićć wielce uczonemu kumowi Alexandrowi z Warszawy: że jak mu tu mówią: „Kogo pan Oleś zgani, to mu przysługę czyni“,—ha! kiedy tak, to niechże go za nic w świecie nie chwali.

Zagadka.

Szydło—motowidło pod niebiosami chodziło, z chłopami, panami i książętami mówiło?

Znaczenie poprzedniéj Zagadki *Grzmot.*

Treść: Przygoda w Stepach, dokończenie.—Złapany na uczynku, komedyjka.—Wiara, Nadzieja i Miłość, wiersz p. Sępa. Myśli.— Cudowna Potęga Rydla i Pługa W. Jastrzębowskiego (c. d.) —Różności: Kula ognista meteor. — Kumoszka (z obrazkiem).—Zagadka. —

Redaktor i Wydawca Józef Grajnert, pod Nr. 24 (nowym) ulica Nowy Swiat. — W druk. I. Krokoszyńskiego. —

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.